

Jak Litwin „Dziady” Polakom wystawił

W Teatrze Narodowym w Warszawie przez przeszło cztery godziny oglądamy przymiarki Eimuntasa Nekrošiusa do wieszcz, wariacje na temat polskiej klasyki i zabawę formą.

WITOLD MROZEK

Eimuntas Nekrošius myślał o „Dziadach” od lat 80. Wystawienie ich z przyczyn politycznych nie było wówczas możliwe, zwłaszcza w radzieckiej Litwie. Dziś spektakl 63-letniego reżysera, legendy litewskiego teatru, wieniec - trochę po czasie - obchody 250-lecia Teatru Narodowego w Warszawie. Są one zarazem jubileuszem istnienia polskiego teatru publicznego.

„Dziady” Nekrošiusa rozgrywają się dosłownie w cieniu Mickiewicza - kształt jego sylwetki ma gigantyczna dziura wybita w tylnej ścianie scenografii. To przez nią wchodzi postać, za nią przesunie się „pomnik” poety. To „Dziady” bez koturnów, bez patosu, ale chyba też bez myśli przewodniej. Przez przeszło cztery godziny oglądamy przymiarki litewskiego mistrza do wieszcz, wariacje na temat polskiej klasyki, zabawę teatralną formą.

Groteskowemu Senatorowi (Arkadiusz Janiczek) zamiast zapisanego w dramacie koszmarnego snu o wypadnięciu z łask cara Nekrošius każe recytować wiersz młodego Mickiewicza o brzęczącym komarze („Marat owadów, lotna gilotyna”). Wyczerpanego Wielką Improwizacją Konrada zamykają w trumnie zbudowanej z egzemplarzy książkowego wydania arcydramatu Mickiewicza. Wystaje tylko ręka rozdająca autografy. „Dla Andrzeja...” - prosi jeden z przechodzących. „...Towiańskiego” - dodaje oburzony, gdy rozlega się śmiech widowni.

Publiczność bardzo chce widzieć w „Dziadach” komentarz do aktualnej rzeczywistości, ale jeśli Litwin z czegoś

w „Dziadach” drwi, to z polskiej skłonności do gestów, póz i wielkich słów. Bo przecież Konrad Grzegorza Małeckiego to kabotyn. Trudno powiedzieć, dokąd dąży, gdy snuje się po scenie w obszernym, do bólu Konradowskim płaszczu jak z wiersza Słonimskiego. Jego Wielka Improwizacja to żadna walka o rząd dusz, raczej próba bycia zauważonym. Małeki jest kojarzony z klasycznym psychologicznym aktorstwem, w wywiadach kreuje się na obrońcę rzemiosła. Ciekawie zobaczyć go w sformalizowanych, rytmicznych partiach, na które Nekrošius rozpiął tekst Mickiewicza.

Jubileuszowy rok przyniósł w teatrach całego kraju wzmożone zainteresowanie polską klasyką wsparte finansowo ministerialnym programem. Dla większości dyrektorów i reżyserów klasyka to, jak się okazuje, wciąż przede wszystkim romantyzm. W dziejach teatru zapiszą się hiperatrakcyjne „Dziady” Michała Zadary z Teatru Polskiego we Wrocławiu, pierwszy raz w historii (!) wystawione na scenie bez żadnych skrótów: najpierw w dwóch ponadpięciogodzinnych odsłonach, potem złączone w monumentalny seans trwający z przerwami prawie 14 godzin.

Z drugiej strony głośne były „Dziady” Radosława Rychcika z Teatru Nowego w Poznaniu, radykalnie naiwna inscenizacja przenosząca Mickiewicza w świat obrazów amerykańskiej popkultury, mieszająca widzenie księdza Piotra z przemową Martina Luthera Kinga, z pieśnią uwieczonych studentów zaśpiewaną jako potężne negro spirituals. Spektakl Nekrošiusa to kolejne nowe odczytanie „Dziadów” bez wysokiego C. Po premierze w Narodowym trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że rozmachem i perfekcją wykonania pojedynkę guślarzy wygrał Zadara. ●

Cały tekst Witolda Mrozka na
Wyborcza.pl/kultura